



CHASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinny.—
Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.—
Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

MOTYLE.

Gdy słońce silniej przygrzeje, a na łąkach wśród traw i ziółek zabłyśnie mnóstwo kwiatów różowych, niebieskich, żółcistych, zaraz też z różnych kryjówek zaczynają wylatywać różnobarwne motyle i trzepocąc pięknymi skrzydełkami, szukają pożywienia. Wiecie zapewne, młodzi czytelnicy, że jedynym ich pokarmem jest sok, który wysysają z kwiatków. Bardzo niewiele im do życia i szczęścia potrzeba: trochę ciepła i kropelkę słodyczy. Motyl zapuszcza długą trąbkę w głąb kwia-

tu, a gdy się nasyci, co nie wiele czasu zabiera, zwija ją nakształt śrubki. A jednak nie był on zawsze taki wstrzemięzliwy; niedawno, bardzo niedawno, gdy nie miał jeszcze tych ozdobnych skrzydełek i nie fruwał

zwinnie z kwiatka na kwiatek, tylko czołgał się ociężale po ziemi lub po gałęziach drzew, nasz motylek był przeciwnie żarłoczny i objadał łąpczywie liście, często nawet tym sposobem znaczne szkody wyrządzał. Ależ to wcale nie motyl, ten śliczny skrzydlaty motyl, to była brzydka, pełzająca liszka! zawołacie może z oburzeniem, chociaż powinniście wiedzieć, że liszka i motyl to jest zupełnie jedno i



Pawik dzienny.

toż samo zwierzątko, w różnych chwilach krótkiego swojego życia.

Trudno jednak się z tą myślą oswoić i mimowoli zapominamy o tém, że każdy z tych wspaniałych motyli był liszką, a każda znów liszka w motyla się z czasem przemieni. Znać także bezwątpienia i owe niekształtne, nieruchome poczwarki, zajmujące miejsce pośrednie pomiędzy liszką i motylem. Wszystkie te przemiany są bardzo dziwne i ciekawe, zasługują też na to, żebyście je dokładnie znali; dla tego to chcemy wam opowiedzieć szczegółowo dzieje motylka od początku jego życia aż do końca. Jest to przeciąg czasu bardzo niedługi, gdyż wszystkie przemiany, przez które owad ten przechodzi, trwają zazwyczaj zaledwie parę miesięcy. Najpierw z drobnutnych jajeczek, złożonych w różnych kryjówkach, najczęściej na liściach i w szczelinach drzew, wychodzą na świat boby małe liszki, które odrazu wyborczy mają apetyt. Zaczynają zjadać w najlepsze liście i różne roślinne pokarmy, to też szybko bardzo rosną, ale co jest najdziwniejsze, że tylko wewnętrzna masa ich ciała się przytęm powiększa, zwierchnia zaś powłoka, tak zupełnie jak sukienka u dziecka, wkrótce się staje za ciasna. Wówczas liszka wypręga się, wyciąga, zazwyczaj wysnuwa parę nitczek, zaczepia je do gałązki i wnet z powłoki, która pęka wzdłuż grzbietu i odpada, jak rękawiczka, wydobywa się z wysileniem liszka w nową sukienkę. Pora ta widocznie uciążliwa jest dla biednego zwierzątka, bo zazwyczaj wówczas traci zupełnie ochotę do jedzenia i wygląda jakby znużone i przygnębione; ale raz pozbywszy się dawniej skóry, znowu zaczyna pożerać w najlepsze i wyrastać, póki nowa przemiana nie nastąpi. W końcu jednak, gdy liszka osiągnie całkowitego swego rozwoju, zmieniwszy skórę kilka razy, zaczyna sobie urządzać inne jeszcze okrycie, w którym na czas jakiś zasypia i jakby martwą się staje. Wszak znacie te poczwarki, pupki, które tak często napotkać można, zawieszane na delikatnych nitczkach, lub przytulone w jakiejś szczelinie, na murach, płotach, drzewach i ziołach. Ale nie każdemu zapewne zdarzyło się widzieć narodzący motylka, a jest to widok niezmiernie

ciekawy. Zwykle w południowych godzinach, gdy słońce jasno przyświeca, bezkształtna poczwarka pęka i wygląda z niej główka z błyszczącymi oczkami i skrzydełka stulone, przemokłe. Mała istotka zrazu nieśmiało porusza rożkami, potrząsa skrzydełkami, osusza się w promieniach słonecznych, wysuwa łapki i z wolna zaczyna siły swych próbować. Skrzydełka wyciągają się, rosną w oczach, poruszają się z coraz większą szybkością; potem znów następuje dłuższa chwila odpoczynku, aż w końcu motyl zrywa się nagle do lotu, unosi się w powietrze i wrodzonym instynktem wiedziony, dąży do kwiatków, z których odtąd ma czerpać pokarm swój cały, odrobinę miodu i kropelkę rosy. Życie motylka w tej pięknej, skrzydlatej postaci, trwa bardzo niedługo; jak tylkołoży drobne jajeczka na jakim liście lub w jakiejś innej kryjówce, natychmiast ginie i nigdy dzieci swoich nie ogląda. A jednak, jakież to cudowne zrządzenie Opatrzności! każda taka mateczka wie dobrze, jaki pokarm najstosowniejszy będzie dla liszek, które się z tych jajek wyklucą mają i składa je zawsze na liściach lub łodygach ulubionych im roślin, chociaż sama, będąc motylkiem, zupełnie czem innem się żywiła. Jesienne poczwarki zazwyczaj przesypiają całą zimę i dopiero na wiosnę wylatują z nich wczesne motylki.

A teraz przypatrzmy się troszkę bliżej tym pięknym skrzydlatym stworzeniom. Wam się zdaje zapewne, że je doskonale znacie, a może jednak nie potraficie określić dokładnie, czem się motylki odznaczają wśród niezliczonej rzeszy innych owadów i jakie są właściwe cechy wszystkich owadów w ogólności, któremi się różnią od innych zwierząt. Otóż najpierw uwagę naszą zwracając na siebie ozdobne skrzydła motyli, lśniące jaskrawymi barwami, a każde dziecko, które choć raz pochwyciło palcami te wątle skrzydełka, wie dobrze, od czego ich piękne barwy pochodzą, bo mu na palcach pozostały ślady delikatnego pyłku żółtego, purpurowego lub błękitnego. Gdyby który z naszych młodych czytelników miał sposobność obejrzeć ten pyłek przez szkło powiększające w mikroskopie, przekonałby się, że to są drobniutkie łuszczyki, osadzone na skrzydłach motyli tak

prawie, jak dachówki na dachu. Od tych łuszek motyle otrzymały ogólną nazwę łuskoskrzydłych, którą się wyróżniają pośród licznej gromady owadów. Naturaliści nadają im oprócz tego różne poszczególne nazwy, dzieląc je na osobne rzędy i rodziny, stosownie do obyczajów i sposobu życia. Więc jedne nazywają dziennymi, dla tego, że w dzień zawsze latają z kwiatka na kwiatek i lubią jasne słoneczne promienie. Do takich należy piękny pawik, przedstawiony na naszej rycinie, tak nazwany od kółek jaskrawych, zdobiących jego skrzydełka, nakształt oczek na piórkach pawich. Zmierzchnice latają znów o zmierzchu, a nocne ukrywają się przez cały dzień i dopiero w nocy wychodzą z różnych zakątów. Te po większej części mają skrzydła ciemne, lub blade mniej ozdobne od dziennych. Do motylów nocnych należą owe nieoszacowane jedwabniki, z których otrzymujemy jedwab. Nie wszystkie gąsienice jednakowym sposobem przybierają na siebie postać poczwarki; jedne i to te, z których później mają wyjść najokazalszeienne motyle, zazwyczaj przy ostatniej przemianie skóry od razu sztywnieją, stają się bezkształtne i nieruchome, tak że powłoka, w której usypiają, jest tylko nową skórą trochę odmienną. Liszka jedwabnika wyrabia sobie to okrycie bardzo mozolnie i starannie; z kleju, który się sączy z własnego jęć ciątka, wysnuwa długą nitczkę i owija ją nakształt kłębuszczka naokoło siebie, tak że cała się w tym uprzedzie ukrywa i bezpiecznie, spokojnie w nim usypia. Ale przemysłny człowiek czatuje; wie on, że gdy motylek się rozwinie w swojej kryjówce i zechce się na świat boży wydobyć, wnet pozrywa ten zwój jedwabiu i zamiast jednej nitki niezmiernie długiej, pozostanie tylko pęk krótkich, nieużytecznych niteczek. Musi więc biedne stworzenie oddać życie dla pożytku człowieka. Oprzędę, czyli kokony, przed rozbudzeniem się motyli zanurzają się w gorącą wodę, jedwab się tym sposobem rozkłada i może być zwinięty. Długość tej cieniutkiej nitki, z której się składa mały kokon jedwabnika, dochodzi 1,000 metrów. Ażeby jedwab dał się przerobić na tkaninę, trzeba uprząść razem od 6 do 12 takich niteczek.

Ale o przemyśle jedwabniczym pomówimy kiedyś osobno, jest to bowiem przedmiot ciekawy i zajmujący, a teraz wróćmy do motyli. Oprócz jedwabników, jest jeszcze wiele innych gatunków, które urządzają sobie oprzędę podobne i te wszystkie przez naturalistów zaliczone są do wspólnej rodziny przadek. Do niej należy największy ze wszystkich motyli *Saturnia Atlas*, który przebywa w środkowej Azji. Nie chcemy tu wyliczać krajowych naszych motyli, bo opisy bez pomocy rysunków nie na wieleby się przydały; ale każdy z czytelników, który wśród lata na wsi gonil te piękne, skrzydlate istotki, zna niewątpliwie choćby tylko kilka pospolitszych lub ozdobniejszych gatunków, jak: Jaskółczy ogon, czyli paź królowej, o skrzydłach żółtych, z czarnymi pręgami i plamkami szafirowemi; admirał, w purpurowe pręgi na czarném, jakby aksamitnem tle; pawik dzienny, na naszej rycinie przedstawiony, ciemno-purpurowy, w jaskrawe oczka; żółty cytrynek; z nocnych zaś okazały motyl przezwany trupią główką, od plamek tworzących niby kształt trupiej główki na jego gorsciku.

A teraz, kiedyśmy już wyliczyli niektóre poszczególne własności motyli, rzućmy okiem na inne, ogólniejsze cechy, które wraz z nimi posiadają także i inne owady. Najprzód tedy spostrzegamy, że ciało motyla złożone jest z trzech części wyraźnie odznaczonych; ze środkowej wychodzi trzy pary nówek. Otóż możecie to uważać za prawidło, że każdy owad wykształcony, to jest taki, który już odbył wszystkie swoje przemiany, ma taką budowę ciała i sześć nówek. Liszki tylko mogą ich mieć daleko więcej, czasem aż do dziewięciu par. Na główce motyla widzimy wystające rożki, czasem długie i cienkie, jak niteczki, to znów grubsze nabrzmieniem zakończone, lub znacznie krótsze i nakształt piórek nastrzępione. I to jest cechą wspólną całej gromadzie owadów; wszystkie mają rożki, najrozmaitszej wielkości i postaci. Według powszechnego mniemania, w tych rożkach mieszczą się oprócz zmysłu dotykania, zmysły słuchu i powonienia. Oczy naszego motylka zasługują także na szczególną uwagę. Wyobraźcie sobie, że każde takie malut-

kie oczko, widziane przez szkło powiększające, wygląda jakby niezmierne mnóstwo oczek skupionych jedno obok drugiego. Każde z osobna jest nadzwyczaj regularnym sześciokątem, a wszystkie stykają się z sobą, tak zupełnie jak komóreczki w plastrze miodu. W jednym takim oku naliczono tych ścierek sześciokątnych ni mniej ni więcej, tylko 60,000. Takie osobliwe oczy mają oprócz motyli prawie wszystkie owady wykształcone całkowicie. Ciekawa rzecz, jak one niemi widzą? Moznaby sobie wyobrażać, że gdy ćma naprzykład wleci wieczorem do pokoju i spojrzy na świecę, to zobaczy od razu kilkadziesiąt tysięcy świec. Szkoda wielka, że od niej samój nic się o tём nie można dowiedzieć, musimy więc na wnioskach poprzestać; jednakże, kiedy my dwójgiem naszych oczu nie widzimy dwóch, tylko jeden przedmiot, można się domyslać, że i u owadów owe liczne oczki nie rozmnażają także przedmiotów. Ale to pewna, że owady muszą mieć z tego powodu wzrok niezmiernie bystry i z łatwością mogą rozróżniać przedmioty oddalone, lub bardzo drobne, bo owe malutkie sześciokątne ścianki w ich oczach są mniej lub więcej wypukłe, tak zupełnie jak szkła w teleskopach i mikroskopach.

Na zakończenie powiemy jeszcze, czém się głównie różnią owady od innych zwierząt, to jest od ssących, ptaków i ryb. Oto nie mają kości, czyli skieletu wewnętrznego, który podtrzymuje oddzielne członki, ale natomiast składają się z licznych obrączek twardych, a te stanowią jakby skielec zewnętrzny. Motyl, mucha, żuk, ma zawsze w gorseciku, to jest w środkowej części ciała, trzy obrączki i z każdej para nówek wychodzi. I inne części ciała owadów są jakby zestawione z obrączek najrozmaitszych kształtów; ztąd nadano im ogólną nazwę zwierząt zestawnych, a nazwę tę oprócz owadów noszą także i raki i pająki i robaki, bo wszystkie mają taką budowę, wszystkie składają się z obrączek zestawionych pomiędzy sobą. *M. J. Z.*

Kłopoty Starszeństwa.

POWIASTKA

dla starszych siostrzyczek.

(Dokończenie).

Kładąc w kocioł leguminę z kredensu, zobaczyłam w kredensie resztę baraniny z obiadu; była to kość z mięsem z baraniej szynki; to się nazywa dyszek. Jak tylko spojrzałam na tę pyszną kosteczkę, zaraz przyszedł mi na myśl Burek. Ale przy kości była jeszcze prawie połowa baraniej ćwiartki, wzięłam tedy do ręki kość i nóż, i spoglądałam z boku na mamę, szyjącą przy oknie. Mama nic... jakby nie widziała, a ja wiem dobrze, że widzi i że sama Burkowi kostki dobre daje, ale pokryjomu, bo to już tak na wsi przyjęte, że pies jest psem, więc się o niego dbać nie powinno, chyba że jest do polowania; a! wtedy to co innego. Biorę ja baranią kość, odkrawam z niej mięso i zostawiam na półmisku, a samą kość z odrobiną mięsa, jak wypada dla psa, owijam w Kuryer i kładę także do koszyka. Przychodzę do mamy, całuję w rączkę i mówię do widzenia.

— Do widzenia,—powiada mama całując mię, wsiądź choćby na wóz, który będzie szedł do Wólki po zboże, to prędej zajedziesz. Tylko mi dla Burka nie brać tam nic z kredensu, nie bałamucić psa porządnego, żeby potem chlebem i kwaśnem mlekiem nie gardził, zasmakowawszy w mięsie.

— To dla tego, że pies jest porządnym stróżem, nie ma nic porządnego skosztować? a to nie warto być porządnym, jeżeli tak!

— Przeciwnie, wtedy dopiero zasługa jest zasługą, kiedy się obowiązek pełni z obowiązku, a nie dla jakichś widoków. Wtedy tylko zasługa jest coś warta.

— A—a na cóżby też Burek mógł mieć jakie widoki?

— A—kto wie: wczoraj czekał podedrzwiemi; wyraźnie rachował na ciebie, że mu coś wyniesiesz.

— A jeżeli się pokaże, że mu chodziło tylko o to, żeby mię przez wieś przeprowadzić? a mama go niesprawiedliwie ocenia, to co?

— To przyznam, że jest wyjątkowo porządnym.

— I nie zabroni mama dać mu co smacznego?

— Nie zabronię.

— To proszę mamy patrzeć—rzekłam i pobiegłam przed dwór. Nie wiedziałam wcale, co Burek robi dla dowiedzenia swój bezinteresowności, ale pewna byłam, że czekając na mnie o zwykłej godzinie przed sienią, czekał jedynie z pocziwego serca. Wybiegłam, podałam psu wielką kość baranią i prędko pusiłam się w pole, spoglądając jednak co on robi? Mama stała w oknie. Burek z kostką w mordce stał chwilę niezdecydowany, spoglądając to za mną, to na kość dużą, która mu z zębów wyglądała jak fajka; wyraźnie rozumiał, a raczej domyślał się, że chodziło o jego honor—nagle spostrzegł mamę w oknie, skoczył na ławkę pod oknami, położył kość tuż przy maminej ręce na oknie, zupełnie jakby ją jej powierzał i galopem za mną pogonił. I ja i mama rośmiałyśmy się obie.

Skoczyłam na przejeżdżający wóz drabiniasty, Antek świsnął na koniki, Burek zaś czekał radośnie i środkiem przez sprzątnięte zagony, koło śpiewających żeńców, bokiem obok stogów, kłaniając się kapeluszem jak chłopak, ojcu tam stojącemu,—pojechałam do Wólki.

Lekeye jak lekeye. Ziunia zjadła co było w kotle, kociół starannie umyła własną rączką, co jej przynajmniej drugie tyle przyjemności zawsze sprawiało, ale kiedy mi przyszło wracać, naparła się gwałtem iść ze mną.

— A to idź—rzekła ciotka, — tylko, Maniu, proszę cię, gdyby Ziunia tam u was kaprysowała, to ją zamknij w którymś kurniku, żeby się ciotce nie uprzykrzała. Jutro rano Kasia tam po nią do kurnika przyjdzie.

Ziunia się tylko roześmiała, uściskała swoją mamę, powiedziała Ludce dobranoc i poszłyśmy ze Stasiem, który nas przez pola przeprowadzał. Słońce zachodziło, ludzie wracali z pól, Ziunia podskakiwała za każdym krokiem, nie puszczając mojej ręki; na mostku uderzyła obcasem w dziurawą deskę i zrobiła uwagę, że Stasio, który powiedział,

że idzie po to, aby czuć nad nami, jest nam taki potrzebny, jak ta dziura w moście. Przy figurze podała mu rękę do pocałowania i kazała wracać, zalecając, aby jak będzie przechodził przez kładkę z powrotem, nie wpadł w wodę, tak jak to ona wczoraj zrobiła. I weszliśmy do domu.

Ale pomimo tego dobrego humoru, przechadzka widać Ziunię zmęczyła, bo gdy zdjąwszy kapelusz wróciłam do niej, zastałam ją śpiącą na kanapie. Do herbaty przebudziła się, rozbawiła i poszedłszy za mną do mego pokoiku, gdzie zawsze nocowały ona i Ludka, nagle oświadczyła mi, że teraz wcale jej się spać nie chce.

— Ale mnie się chce—powiedziałam na to; usłałam jej łóżeczko naprzeciw swego, przypomniałam, jak jej prosiłam, aby nie spała przed herbatą, na co ona wówczas nie zważała i chciałam ją rozbierać, utrzymując, że ona jako dobra siostrzyczka nie będzie marudzić i mnie ze snu wybijać.

— Przecież i ty jesteś dobra siostrzyczka i jaka dobra jeszcze! to ja pewna jestem także, że i ty mi nie zechcesz przykrości robić i nie będziesz mię przymuszała iść spać, kiedy mi się nie chce—odpowiedziała Ziunia i uwiesiła mi się u szyi.

— Uważasz, Ziuniu! tyś się dzisiaj tylko troszeczkę uczyła, a zresztą bawiłaś się, jak ci się podobało i spałaś, kiedy ci się spodobało, ale ja musiałam wstać o piątej, zrobić ojcu herbaty, pomagać mamie przy gospodarstwie, bo to żniwa, a ty wiesz przecie, co to żniwa! jakto wszyscy muszą wtedy być zajęci. Potem musiałam Broni uszyć fartuszek nowy, bo jej fartuszków nastarczyć nie można; potem na gwałt uczyłam się swojej lekcji; potem musiałam ze dwadzieścia kawałów chleba z serem ukrajać, pomagając mamie, aż mi ręka zabolęła; potem Bronię musiałam bawić, udawać świerszcze, koty, kury i kurczęta, aż się zdyszałam; potem do was jeździłam i wróciłam piechotą; a teraz jestem zmęczona tak bardzo, że ty wyobrażenia o takim wielkim zmęczeniu nie masz; spać mi się chce, aż mi się oczy same zamykają, a ty mi spać nie dajesz! Moja Ziuniu droga, pozwól mi spać i ciebie położyć.

— To kiedyś ty taka biedna, zmęczona, to

połóż się i śpij, Maniusiu, tylko świecy nie gaś, a ja sobie po cichutku będę obrazki oglądać przy stole.

— Czy Ziunia nie wie, że mama nie pozwala kłaść się, nie zgasiwszy świecy?

— To zgąś; ja usiedę przy oknie i gwiazdki będę rachować.

— Gwiazdki?—a po cóż je rachować kiedy przykładu z nich brać nie chcesz? nie ma poco i patrzeć na nie.

— Przykładu? z gwiazdek?

— A tak; patrz jak one codzień każda o właściwej godzinie i w swoim właściwym miejscu wschodzą... choć ich czasem nie widać dla tego, że je chmury zasłonią, to gwiazdki jednak na swoim miejscu są; chmury przelecą i przekonasz się, że gwiazdki są, w takim porządku i na tym samym miejscu w jakim Ten, który je stworzył niegdyś przed tysiącem lat, kazał im być. To się nazywa porządek; taki porządek musi być wszędzie i we wszystkiem, bez takiego porządku światby zginął i ludzie na nim. Jak gwiazdka o swojej porze wschodzi i zachodzi i ziarno najmniejsze piasku w pewnym porządku między innymi ziarnkami leży, albo wiatr albo woda niesie je tam, gdzie być powinno, tak i dziecko, choćby najmniejsze, czy też człowiek dorosły, musi robić to, co powinien, co mu rozum każe, albo starsi. Człowiek dorosły, któryby zmienił naturalny porządek życia i w nocy chciał czuwać, prędkoby zasłabł, a ty, jeżeli się nie położysz zaraz, to jutro zaśpisz, niezdrążysz ubrać się na naznaczoną godzinę do lekcji i będziesz zapisana w „czarnym dzienniku za nieakuratność.“

— „W szarna siennik sa nieakuratność“? ja tak nie chcę! ja ani razu jeszcze w tym miesiącu „w szarna siennik“ nie byłam i nie będę!

— To połóż się; jak się położysz, to i usniesz.

— No, to się położę—i Ziunia troszkę śmiejąc się z „szarna siennik“ panny Wilhelminy, ale nie życząc sobie naprawdę być w nim zapisana, rozebrała się, uściskała mnie za pomoc przy rozbieraniu i położyła. Nakryłam ją kołderką, zmówiwszy z nią razem paciorek, otuliłam, zgasiłam świecę i położyłam się sama.

Już usypiałam, na co do dziś dnia nie długiego potrzebuję czasu, gdy coś niby pisk myszki dał się słyszeć z łóżeczka Ziuni; pisk myszki stawał się coraz głośniejszy, aż się w miauczenie dobrego tęgiego kota zamienił. Przez długą chwilę udawałam, że śpię, rachując na to, że i dziecko zaśnie, pomarudziwszy trochę, ale gdy piski i miauki zaczęły się w płacz zamieniać, rzekłam nareszcie:

— Ziuniu, kochanko! nie masz chyba dobrego serduszka, kiedy mię budzisz; mniejsza o mnie, choć mi się serdecznie spać chce, północ blisko, a ja o piątą jutro znowu wstać muszę; ale zastanów się, moje dziecko, że tak dokazując, obudzisz Bronię, która śpi tu obok w drugim pokoju, a jak Bronię obudzisz, to już ona cały dom postawi na nogi.

— Moja Maniusiu droga! to cóż ja mam zrobić, kiedy zasnąć nie mogę! gdybyś mi powiedziała bajkę, to możebym zasnęła...

— Chodziła czapla po wysokiej desce... powiedzieć jeszcze?

— E, ja tak nie chcę, niech Maniusia naprawdę bajkę mówi.

— Ty litości nie masz nademną, Ziuniu.

— Ach, jaka ja jestem nieszczęśliwa...—zaczyna po cichu narzekać Ziunia.

— Ziuniu, a gdybyś ty sobie sama bajeczkę opowiadała?—mówię, rachując na to, że dziecko tym prędzej zaśnie, im mniej ja z niem będę rozmawiać.

— Jaką bajkę?

— A choćby tę o nieposłusznym Szaraku, którą twój ojciec lubi?... tylko opowiadaj po cichu.

— A dobrze—rzecz dobra Ziunia i zaczyna deklamować bajkę, najprzód po cichu, ale w miarę przejmowania się deklamacją, coraz głośniej:

Nieposłuszny Szarak.

Na stronic, w zagonie kapusty,
W szaraków biedaków zapusty,
Siedział sobie raz szaraczek cichutko
I powoli gryzł kapustę młodziutką;
Bo lud wszystek był na jakimś odpuscie,
Nikt nie wiedział, co się dzieje w kapuscie,
Stary złośnik, pies kudłaty,
Chrapał głośno u drzwi chaty.

— „Dzieciatko, kociatko ty moje,
Pójdź zasie, bo ja się coś boję!..“
Tak, składając łapki do swęj dzieciny,
Woła mama zajęczyna z gęstwiny,
Gdy zdążywszy ledwo chrupnąć kru-

[szynę,

Już drapnęła z całej siły w gęstwinę.

— „Psisko chrapie, niéma ludzi,
Oj, jak też ta mama nudzi!..“

Rzekł zając, zrywając listeczki,
Wciąż dalej, wśród żali Mateczki.
I powoli jęj tłómaczył cierpliwie—
Że dziś można choć nocować na niwie,
Bo dziś przecież jest na świecie Niedziela,
A więc człowiek do szaraczków nie strzela.
A w tém coś zębem wskrós
Kark mu przedostanie...
I za chwilę pies kudłaty
Gryzł szaraka biedne gnaty,
Za nieposłuchanie.

— Ziuniu! nie tak głośno, moje dziecię!
zbudzisz Bronię...

— Kiedy jak będę ciszej mówić bajkę, to
nie będę mogła jęj słyszeć, boś mi uszki za-
wiązała czepeczkiem.

— Słuchaj, Ziuniu, a gdybys sobie zada-
wała zagadki? nie potrzebowałabyś wtedy
mówić głośno, tylko w myśli szukałabyś roz-
wiązania tych zagadek, prawda?

— A prawda.

— No to zadawaj sobie zagadki, tak jak
my często robimy, gdy się u was albo u nas
zbieramy.

— Kiedy ja nie wiem, jakby sobie zagad-
kę ułożyć...

— O, to bardzo łatwo; na przykład: pierw-
sze *Słoi*, drugie *Ce*, zwierze i litera—wszyst-
ko świeci nam na niebie, nigdy nie umiera.
Pomyśl, coby to mogło być? a jak zgadniesz,
ułoż sobie sama taką zagadkę.

— Pierwsze *Słoi*? drugie *Ce*?—zwierzę i
litera?—powtarza Ziunia powoli, mocno za-
myślona,—*Słoi* i *Ce*? coby to mogło być?—
Ziunia myśli, myśli, nareszcie rzecze zie-
wając:

— Nie, nie zgadnę. Zadaj jeszcze zagad-
kę, Maniusiu, to już ja się nauczę sama za-
gadki układać.

— Pierwsze *Wro*, drugie *Na*,—piórka u
ogona:—co to jest?

— Pierwsze *Wro*, drugie *Na*?—myśli zno-
wu Ziunia...—myśli, myśli, bije pierwsza go-
dzina i wolny, głośniejszy trochę od zwykłe-
go oddech, zawiadamia mię, że Ziunia nako-
niec zasnęła.

Byłam tak znużona, że już nawet przeciw
zwyczajowi swojemu zasnąć prędko nie mo-
głam; a gdy zasnęłam, okropna mucha dusi-
ła mię za gardło, świerszcz ze słoniem tań-
cowali koło mnie prędko, prędziutko, coraz
prędzej, aż mi się w głowie zawróciło, chwy-
ciłam się za głowę i obudziłam. Było już po
piątej, zerwałam się z bólem głowy, a Ziunia
spała w najlepsze. I znów pomyślałam sobie:
Ej, żebyż to Stasio wiedział!

III.

Nazajutrz znów przyjechała ciocia z Ziu-
nią i Ziunia napierała się zostać do jutra u
nas, gdy ojciec mój, dosłyszawszy jej prośby,
zawołał ze swego pokoju:

— Veto! nie pozwalam. Chyba że Ziunia
spać zechce w moim pokoju, to już ja sobie
dam z nią radę.

— Nie, ja tak nie chcę!—krzyczała Ziu-
nia, bo bała się ojca.

— Albo co? czy Ziunia źle się tu sprawowa-
ła? A dla czegoż to ja o tém nie wiem?—spy-
tała ciocia, znacząco spoglądając na Ziunię,
która na mnie spojrzawszy z wyrzutem, za-
czerwieniła się i twarz zakryła fartuszkciem.

— Panno Ziuniu! proszę mi na siostrę
cioteczną tak podejrzliwie nie spoglądać, bo
ja ręczę, że ona się na ciebie nie poskarżyła
ani jednym słówkiem—rzekła moja mama.

— Ziuniu! idź mi zaraz starszą siostrę
przeprosić za niesłuszne posądzenie, jeżeliś
ją posadzała, bo ja o tej sprawie nic nie
wiem—powiedziała ciotka. A Ziunia puści-
wszy fartuszek, przysłała do mnie, uściskała
mię i powiedziała:

— Przepraszam siostrunię—rozpłakała się.

— Proszę nie płakać! bo to sprawy nie
polepszy—rzecze ciotka, gdy ja uspakajałam
Ziunię. Ale powiedcież mi, co ona tu na-
broiła?

— Ja powiem—rzecze ojciec, wychodząc
ze swego pokoju.

— Oto przez większą połowę nocy wyprawiała browary przeróżne, wypawszy się w dzień, przez co oka zmrużyć nie dała mojej biednej starszej dziewczynie, która i tak rano wstaje a późno się spać kładzie. A trzeba jeszcze ciotce wiedzieć, że już w południe musiała ta biedna moja kochana dziewczyna bawić w zastępstwie nianki tę najmłodszą beksę. Ach ciotko, słyszałem ja to bawienie i powiadam wam, że wolałbym drzewo rąbać niż dzieci bawić. Dorastająca dziewczyna w wieku mojej najstarszej potrzebuje się wyśpać w porę, ażeby się zdrowo rozwijać i siłę nabierać; dla tego proszę, żeby mi panna Ziunia w pokoju mojej córki nie sypiała już nigdy.

Mówiąc to ojciec uściśkał mnie, a potem uściśkała mnie mama i rzekła:

— W dziecinnych latach twoich namęczyłam ja się i nakłopotalam nie mało przy tobie, moje dziecko, a ty oddajesz teraz te trudności moje młodszemu rodzeństwu i tym mi się wywdzięczasz. Niechże tak robią wszystkie starsze siostrzyczki, aby ich mamy tak je za to serdecznie kochać mogły i błogosławić, jak ja ciebie.

BOHATERSKI CZYN

Bartłomiej Kościelniak.

Jeszcze blask słoneczny nie rozproszył gęstej mgły wilgotnego wiosennego poranka, a już z chaty wieśniaczek, uczeplonej na wyniosłym wzgórzu we wsi Krzeszowie, wychyliło się dwóch ludzi. Wśród ciszy zalegającej do koła przesuwali się szybko; idący naprzód odmawiał półgłosem poranne pacierze, drugi rozglądał się po okolicy, przecierając oczy. Wąskie ścieżyny, któremi postępowali wśród gęstych zarośli, wiodły do lasu; tam się też skierowali.

Nim jednak rozpoczniemy nasze opowiadanie, dodamy, że Krzeszów leży w pięknej górskiej okolicy, w Galicyi zachodniej, koło Suchej i obfituje w pokłady rudy żelaznej. Górąle tutejsi, którym gospodarstwo rolne nie wiele przynosi dochodu, zajmują się przeważnie handlem, chowem bydła, wyrobem narzędzi gospodarskich, a wreszcie górni-

ctwem. Pokłady rudy, której wydobywaniem się trudnią, znajdują się wśród wyrębów leśnych, lub też na jałowcowych pustkowiach, nie tylko w Krzeszowie, ale i okolicznych wioskach, Tarnowie i Kukowie. Robotnicy łączą się przy tej pracy po dwóch lub trzech w spółkę i za pewnym wynagrodzeniem obowiązują się zakładom hutniczym w Suchej dostarczać rudy. Każda taka spółka otrzymuje od skarbu Suskiego kawał gruntu, z którego na własną rękę i odpowiedzialność wydobywa surowy materiał. Górnikami tymi są prości, niewykształceni w górniczym zawodzie górale, którzy we wszystkich ważniejszych wypadkach własnym rządem się sprytem i przemysłem. Chcąc wydostać rudę, o której wspominaliśmy wyżej, kopią oni na dwadzieścia i więcej metrów głębokie studnie, lub tak zwane szyby albo szachty, gdyż w takiej mniej więcej głębokości znajduje się ruda. Dokopawszy się w ten sposób pokładu, wybierają rudę do wiaderkowatych naczyń i wyciągają znajdującymi się u góry windami. W tych samych naczyniach spuszcza się i wydostają na wierzch robotnicy. Ażeby z jednego takiego szybu, kosztującego ich wiele mozolnej pracy, jak najwięcej wyzyskać rudy, podkopują się czasem na kilkanaście metrów na około popod ziemię, podpierając w pewnych odstępach takową, by im się nad głową nie zawaliła, lub nie odcięła powrotu do szybu. Pokłady te rzadko dochodzą grubości metra, a więc górnik całymi dniami kopie i czołga się na czworakach. Wyzyskawszy narreszcie cały swój teren, zabiera nim go opuści wszystkie swoje narzędzia i podpory, ażeby je w nową użyć studni; poczem zasypuje jałowy już szyb z obawy, ażeby nienarażać jakiego przechodnia lub bydłęcia na niebezpieczeństwo potłuczenia się lub śmierci.

Że przy podobnie nieostrożnym i niefachowym wydobywaniu rudy dzieją się nieszczęśliwe wypadki, łatwo każdy pojmie; ale ponieważ biedny góral przy niebezpieczeństwie i ciężkiej pracy ma przy tem zajęciu jaki taki zarobek, więc nie uprzykrza go sobie i trzyma się tej gałęzi przemysłu.

A teraz wróćmy po tych wyjaśnieniach do naszych górników, których zostawiliśmy na

skręcie do lasu.. Ten, który odmawiał głośno pacierze, nazywa się Jakób Kachel. Doszedłszy do swojego szybu, z którego już poprze-

— Trzeba jeszcze i tę podpórę zabrać — mówił do siebie i wyciągnął grubą deskę, podtrzymującą jedną ścianę. W tej samej jednak



Kłopoty starszeństwa.

dnio wyzyskał zupełnie rudę, spuścił się do wnętrza tegoż i ztamtąd posyłał windą na górę to wszystko, co mu było potrzebne, do mającej się rozpocząć w nowej studni roboty.

chwili usuwają się lekko tu i owdzie balami porozpierane ściany, zasypują nieszczęśliwego górnika siedmiometrową warstwą gruzów, kamieni i, na szczęście, desek. Te nie odcięły

go całkiem od powietrza, gdyż inaczej w kilka minut byłby się nie tylko udusił, ale i został na miazgę zgnieciony, gdyby cały ciężar, niewstrzymywany tu i owdzie balami, na nim był zaciężał. Znajdujący się u góry jego współtowarzysz pracy, zobaczywszy co się stało, sądząc że już pó Jakóbie, nie próbował nawet na razie żadnych środków ratunku, tylko dał znać do wsi.

Na wieść o nieszczęściu zeszli się ludzie, ale znając głębokość szybu, a widząc takowy do połowy zawalony, utrzymywali jednogłośnie, że nieszczęśliwy na śmierć zgnieciony został; nikt też nie myślał przyjść jakimkolwiek sposobem w pomoc żywcem zagrzebanemu.

Wtém przeciska się żwawo przez tłum świeżo przybyły Bartłomiej Kościelniak, dawny współtowarzysz pracy Jakóba i pochyła się, nadsluchując nad szybem.

— Ach ludzie! toż wy Boga w sercu nie macie, wszyscyście stoicie z założonemi rękami, a on napróżno pomocy woła.

Gdy jednak nikt z obecnych nie chciał odważyć się, by wspólnie z nim zabrać się do dzieła, zacny Bartłomiej wyrzekł te słowa:

— Jakób ma żonę i pięcioro dzieci, ja sam jeden na świecie, trzeba go więc ratować, niech się dzieje wola Boża. Mówiąc to spuścił się szybko do studni i zaczął co sił starczyło usuwać rumowisko.

Odwaga jego i poświęcenie poruszyły niejedno leniwe i twarde serce, znalazło się kilku ochotników, którzy mu nareszcie zaczęli pomagać, windując w naczyniach odsypane rumowisko. Wpółśród tego słyszano po kilkakroć słabe jęki Kachla i posłano po księdza. Nadszedł niedługo kapłan, nastąpiła uroczysta cisza, tylko od czasu do czasu słychać było urywane i błagalne słowa żywcem zagrzebanego. Ksiądz wnosząc z nich o jego pokucie i skrusze, rozgrzeszył go, a następnie, gdy Bartłomiej wziął się do pracy, jeszcze długi czas odmawiał, wśród nadbiegających z dolnych nawet wsi mieszkańców, wszystkie za konających modlitwy.

Była to chwila nadzwyczaj wzruszająca i pełna grozy, wśród zgromadzonych widać było rozbudzające się współczucie; widzowie przed chwilą obojętni zabierali się do robo-

ty, wszystkich ogarnęła litość i trwoga. Niejeden z obecnych zadrżał w téj chwili o życie swoje i bezpieczeństwo drogich mu osób i pragnął przyczynić się do uratowania biedaka, którego śmierć już prawie w swojej mocy trzymała.

Tymczasem Bartłomiej Kościelniak przodował innym, nie ustając w pracy, choć ta była olbrzymią i nader niebezpieczną; ziemia co chwila się nad nim osuwała, a dwa razy tak go zasypała, że inni robotnicy musieli się do szybu spuszczać, by go odkopać. To też kiedy go wydostano po raz wtóry, prawie nieprzytomnego i pokrwawionego, mniej ochotni zaczęli mu odradzać, gdy przyszedł do siebie, próżne według ich przekonania usiłowania ratunku; zabierali się też do domu, by udaremnić dalszą pracę.

Ale Bartłomiej, słysząc coraz słabsze jęki, które wychodziły z pod gruzów, rzucił się napowrót do szybu z hasłem:

— Albo razem umrzeć, albo go wyratować — i w krwawym pocie czoła tak przez kilka jeszcze godzin pracował, aż dokopał się przecie do wpół już obumarłego. Uwolnwszy mu nareszcie głowę i jedną rękę, zobaczył dopiero, że reszta ciała zgarbionego tkwiła jakby klinem w natłoczonem naokoło rumowisku; a już to samo zabierało w ciasnym szybie miejsce do koniecznych ruchów i obrotów, mających na celu usuwanie gruzów. To też, gdy mu się udało nieszczęśliwego po pas uwolnić, założył mu pod ramiona naokoło ciała linę, za którą kazał ciągnąć windę, podczas gdy sam dopomagał o ile i gdzie się tylko dało. Mimo jego bohaterskich usiłowań, winda musiała główną przy ostatecznym ratunku odegrać rolę. To też ciągniono, aż wszystkie stawy nieszczęśliwemu ugrzęzłemu trzeszczały.

I wyciągniono wreszcie o wpół do szóstej wieczór, najprzód Jakóba, a potem Bartłomieja, pokrwawionych, potłuczonych, prawie do ludzi niepodobnych; z tą jednak różnicą, że Bartłomiej prowadzony przez towarzyszy dowlókł się do domu, Jakóba zaś na sporządzonych naprędce noszach zawieziono jęczącego z bólu do rozpaczającej żony i dzieci. Tak dalece nikt nie przypuszczał, że go wy-

dobędą żywego, że wtedy dopiero posłano po doktora, o trzy mile mieszkającego.

Przybył już późno w nocy i zastał nieszczęśliwego w najopłakaniejszym stanie, trzymanego prawie na rękach przez najbliższe otoczenie, gdyż ani siedzieć, ani leżeć, ani na nogi przystanąć w żaden sposób nie mógł. Całe ciało, od głowy do stóp, było jakby jednym śnieciem pokryte, przytém twarz, szyja i klatka piersiowa balonowato wydęte, a to z powodu, uchodzącego pod skórę z przedziurawionych płuc, powietrza. Przedziurawienie to nastąpiło od ostrych końców połamanych żeber, których to złamań było bez liku, tak że klatka piersiowa sprawiała przy badaniu szelst, jakby worek z orzechami.

Ułożywszy z wielką biedą odpowiednio chorego, doktor kazał mu przystawić dwadzieścia baniek siekanych na klatkę piersiową, już w celu uprzedzenia gorączki, już téż by znieść zbyt gwałtowne naprężenie skóry, przez odymające powietrze; prócz tego całe ciało polecił zawijać w zimne okłady; nie miał jednak na razie żadnej prawie nadziei ocalenia biedaka.

Wielka jest wszakże siła żywotna w człowieku, wielkie miłosierdzie Boskie, a umiejętne leczenie i gorliwe pielęgnowanie chorego, często uchodzące życie powstrzymać potrafią. Tak stało się z Jakóbem; przez trzy tygodnie wisiał niejako między życiem a śmiercią, w czwartym zaczęło mu się znacznie polepszać, a po upływie dziesięciu tygodni przybył, jako przychodzący do zdrowia, podziękować doktorowi za leczenie i opiekę w czasie choroby. Bartłomiej przyszedł także do siebie, pracuje jak dawniej; Bóg użył za mu zdrowia.

My, którzyśmy byli blisko miejsca, gdzie się wypadek wydarzył, podajemy w wernym opisie młodym czytelnikom ten wzruszający obraz poświęcenia człowieka, u którego pod grubą siermięgą góralską bije szlachetne serce, pełne chrześcijańskiego miłosierdzia i wytrwałego mężstwa.

Walerya Stacherska.

Czytania Wieczorne.

III.

Pewnego dnia wszedł p. Kański o zwykłej wieczornej godzinie do bawialni i zastał tam Józię, przerzucającą jakąś książkę.

— Co ty tu robisz?—zapytał zmieszana.

— Patrzałam, czy tatuś nie naznaczył zakładką tego, co dziś czytać mamy—bom strasznie ciekawa.

— I znalazłaś zakładkę?

— Znalazłam, a nawet—muszę się przyznać, przeczytałam parę wierszy. Ale nie nie rozumiałam.

— To tylko kara za ciekawość, moje dziecko.

Tymczasem wszyscy już się zgromadzili, a p. Kański rzekł:

— Józia wyznaje, iż nie nie rozumiała; to dowodzi, że zanim dziś czytać zaczniemy, powinniemy wam trochę objaśnić to, o czym czytać będziemy, chociaż moi studenci i moja panna obeszliby się może bez tego. Mamy dziś czytać powieść biblijną pod tytułem: „Laska Proroka.“

Powieścią nazywamy opowiadanie jakiegokolwiek wydarzenia; tę zaś zwiemy *biblijną*, bo zdarzenie tu opowiedziane zapisane jest w Biblii, w Starym Testamencie.

W powieści tej mowa o proroku Elizeuszu; o nim coś wiedzieć musicie?

— Elizeusz był to uczeń Eliasza, proroka, który żył za czasów Achaba, bezbożnego króla Izraelitów, około 900 lat przed Chrystusem i sam był prorokiem,—mówił odważnie Staś.

— A dla czego oba nosili nazwę proroków?

— Bo oba—pochwylił Staś,—napełnieni duchem Bożym, przepowiadali przyszłość i cuda czynili; a Bóg posyłał ich do ziemi Izraelitów, aby ten naród, który często o przykazaniach boskich zapominał, bałwany czeił i w grzech popadał, do pokuty i upamiętania przywiedli.

— Wybornie ci pamięć służy, mój chłopcze; dowodzi to uwagi i istotnej chęci do

nauki, bo czego się nieuważnie i obojętnie słucha, tego się z pewnością zapamiętać nie potrafi. Otóż w tej powieści przechowana jest pamięć jednego czynu Elizeusza, który nam wybornie tego męża bożego maluje. Dziś to już chyba Staś za nagrodę czytać będzie—i p. Kański zarumienionemu z radości i zakłopotania chłopcu, podał już otwartą książkę:

LASKA PROROKA

przez Kaźm. Brodzińskiego,

przeczytał Staś, gdy p. Kański mu przerwał:

— Muszę wam jeszcze powiedzieć, że Sunamitką zowią tu kobietę, mieszkającą w miasteczku izraelskiem Sunemie. Czytaj, mój chłopcze.

Nieszczęsna Sunamitka ze łzami zaklina
Proroka Elizeja, by wskresił jej syna,
Lecz Prorok pójść rozkazał słudze Gehazemu;
Rzekł mu:—Opasz twe biodra i pójdz do Su-
[nemu,

Dotknij ciała tą laską, a jeśli szczęśliwy,
Jeśli czujesz i wierzysz—syn jej będzie żywy.
Wnet Gehazy z radością w podróż się wyprawił,
Bo dawno pragnął, aby cudami się wślawił;
Lud mu drogę zachodzi i pyta i bada.

—Zmarłego idę wskresić—dumnie odpowiada.
Wnet za nim z miast i włości lud ciśnie się
[w tłoku,

I woła: Będziem widzieć cud w nowym Proroku!
Dumnie Prorok przed niemi do Sunemu dążył,
A ujrawszy zmarłego w koło go okrążył,
Z powagą kładzie laskę na umarłe ciało,
Ale dziecię ni czucia, ni też głos wydało;
Wnet więc przytyka laskę ku ustom, ku czołu,
Odwraca w lewo, w prawo, od wierzchu, do dołu,
Dziecię zimne i martwe.

I tak, miasto cudu,
Stał zawstydzony pośród szydzącego ludu.
Na to Prorok Elizej przybył do Sunemu;
Najprzód rozejść się kazał ludowi wszystkiemu,
Potém kornie się modlił. Wziął dziecię na dłonie
I w gorącym objęciu trzymał przy swém łonie,
Usta do ust i piersi do piersi przyłożył.
I tak póty pozostał, aż w zmarłym duch ożył.

I nikt już czytania nie przerywał, a Staś czytał powoli, uroczyście, a jednak z właściwą prostotą. Gdy skończył, wszyscy milczeli chwilę, Józia pierwsza zaszczebiotała.

— Ciekawam, dla czego Gehazy nie wskresił tego dziecka, kiedy miał i laskę Elizeusza i tak samo jak on sobie poczynął?

P. Kański nie śpieszył się z odpowiedzią,

a po chwili Halcia rzekła półgłosem, jakby mówiąc do siebie:

— Ja wiem, dla czego! Oni zupełnie inaczej postępowali.

— Czy tak?—pochwycił p. Kański—wytłómaczcie nam to zdanie swoje, moje dziecko.

— Widzi ojciec—mówiła zmieszana trochę Halcia—mnie się zdaje, że prorok Elizeusz, mówiąc do Gehazego: „Jeżeli czujesz i wierzysz, syn jej będzie żywy“ zwrócił uwagę jego na to, że niedość jest laską dotknąć umarłego, aby go wskresić.

— Otóż ja tych słów dobrze nie rozumiem—przerwał Kazio.

— Mnie się widzi—ciągnęła dalej ożywna Halcia—iż przez to chciał go nauczyć, że ten dokonywa cudów, kto wierzy w potęgę Boga i czuje się sługą niegodnym, pokornym Jego na ziemi narzędziem.

— Tak, tak, moje dziecko—potwierdził p. Kański, całując Halcię w czoło—widzę, że ja tu wkrótce niepotrzebnym będę, bo ty mnie zastąpisz. A jak wam się podoba postępowanie Gehazego?—dorzucił.

— Mnie się nie bardzo podoba!—zaczęła Józia.

— Dla czego ten Gehazy, idąc do Sunemu, chwali się: „Idę zmarłego wskresić“ i dozwala, żeby lud gromadził się koło niego i towarzyszył mu i patrzył jak on cud czyni, jakby to było widowisko jakie.....

— Ale też natychmiast za swą próżność i pychę ukaranym został—przerwał Staś—bo gdy cudu nie uczynił—lud zgromadzony wyśmiał go należyście!

— Mnie to tylko dziwi—dorzuciła jeszcze Józia,—że Elizeusz, wyprawiawszy Gehazego dla uczynienia cudu, po chwili sam za nim do Sunemu śpieszy?

— Elizeusz, wyprawiając Gehazego, wiedział dobrze, iż on cudu nie uczyni—rzekł p. Kański.—Postąpił zaś tak dla upokorzenia pysznego i zarozumiałego sługi. Wszak poeta mówi, iż z radością przyjął polecenie Gehazy; „bo dawno pragnął cudami się wślawić.“

Z tych słów domyslać się możemy, jak Gehazy zazdrościł Elizeuszowi daru czynienia cudów, jak był niezadowolony ze swego stanowiska sługi, jak mu codzienne prace cię-

żyły..... bo i jak tu ochoczo zamiatać i wesoło sandały czyścić, gdy w głowie mniemanie, że i cud potrafiłoby się zrobić?

Dla tego to wysłała go Elizeusz, dla tego daje mu swą własną łaskę. Niech Gehazy nie myśli, że on mu przeszkadza czynić cuda; ale dodaje przestrożę: trzeba czuć i wierzyć. Czy to Gehazy potrafi? Nie. Bo kto długo samolubnie o sobie tylko myśli, kto nie ma miłości i pokory, nie tylko cudów czynić nie będzie, ale najprostszego niewykona dzieła.

Ale Elizeusz śpieszy za Gehazym—jemu żal tej biednej matki, która na widok próżnych usiłowań Gehazego traci ostatnią nadzieję, cierpi tak, jak gdyby dziecię po raz drugi traciła. Wchodzi więc prorok do izby, w której dziecię leżało i jakże sobie poczyną? czy tak jak Gehazy?

— Zupełnie inaczej—przerwał niemal Kazio—on lud oddala, on cudów nie czyni przez próżność, żeby cudami się wsławił, ale dla tego, że ludzi miłuje i pragnie ich pocieszyć i dla tego jeszcze, że lud patrząc na cuda, uchy się chwalić, kochać i poznawać Boga.

— Potem—wtrąciła pani Kańska—on się modli. Swoją siłę on nie wierzy; on prosi Boga o pomoc, a potem... To bardzo piękne, nieprawdaz? on nie dotyka łaską dziecka, zdaleka i obojętnie. On je bierze na ręce, jak matka ukochane swe dziecię i tuli do siebie, i usta do ust przytyka, jakby ciepło, co ciało ożywia i tę miłość, jaką czuje, chciał przelać w tę martwą dziecinę, jakby się z nią swoim życiem chciał podzielić. I pod tem technieniem miłości i wiary dziecię do życia wróciło.

Nastąpiła chwila milczenia, bo wszyscy byli wzruszeni.

— Czy rozumiesz teraz tę powieść, Józiu?—zapytał wreszcie p. Kański.

— Rozumiem już—odparła Józia—bo i tatuś i wszyscy tak to jakoś wytłómaczyli, tyle rzeczy wyczytali w krótkich słowach, że nie można nie zrozumieć.

— Moje dziecię—rzekł p. Kański—może to dzisiejsze czytanie dla ciebie zbyt było poważne, bo w tej powieści wielkie bogactwo treści i wielkie zawarte są nauki.

Nieraz dwóch ludzi, nawet dwóje dzieci, czyni na pozór jedno i to samo, jak tu Eli-

zeusz i Gehazy—ale jedno czyni to z miłości Boga i obowiązku, a drugie niedbale; byle się zbyć, albo dla nagrody i pochwały, lub dla zysku. Pracy ich owoce będą tak różne, jak uczucia które niemi kierowały. Kto swęj pracy, swego obowiązku nie ukocha, tego praca marną będzie; kto je ukocha, pokona takie trudności, owoce takie odniesie—jakoby cuda czynił.

Niczem sama chęć chwały, nauki i wzory,
Gdzie nie ma wewnątrz uczucia i ducha pokory,
Bez nich wiara, ni cnota, ni sztuka nie będzie;
Na próżno z dłoni mistrza odbierasz narzędzie,
Byś jak on cuda działał, jeśli ogniem świętym,
Jako on, z woli Nieba, nie jesteś natchniętym.

Ale dosyć na dziś, moje dzieci; jeśli was czytania nudzą albo męczą, przerwać je możemy.

— Nie, nie, tatku! jutro znowu czytać będziemy.

— I rozeszły się dzieci, a Staś rzekł do Kazia:

— Święta to prawda! W klasie np. chłopców jest 40-tu; ten sam nauczyciel ich uczy, tak samo lekcyi jego słuchają, a ledwie 10-u umie wybornie, drugi dziesiątek piąte przez dziesiąte, a reszty nawet nie pytaj. A dla czego? Celujący chcieliby zjeść wszystkie rozumy i nigdy im nie dość; drugi dziesiątek mówi: byle się przepchać i chwycić patencik jaki—a reszta powtarza nieraz: rodzice siedzieć każą w klasie—siedzimy, ale uważać—o tem, ani myśleć. Jutro poprzyzywam ich Gehazikami; oto będą w głowę zachodzić dla czego? A ja im powiem: szukajcie w biblij, to nazwa biblijna. Cha, cha, cha, otóż się ubawie!
A. Dzieduszycka.

Z DZIEJÓW SŁAWY.

Michał książę Ogiński.

Urodzony w roku 1728 z ojca Jana, starosty grodzieńskiego i Joanny Wołłowiczówny, podkomorzanki słonimskiej, jeszcze za panowania Augusta III odznaczył się zdolnościami i przywiązaniem do kraju, a za sprawowane różne pomniejsze urzędy przez tegoż króla orderem Orła białego ozdobiony został.

Wielostronném ukształceniem i towarzyskimi zaletami jednak on sobie licznych przyjaciół w częstych podróżach za granicą. W roku 1776 Ogiński poświęcił się z całą gorliwością wielkiemu dziełu, mającemu przynieść znaczne usługi dla kraju. W roku 1768 powziął był on wielką myśl osuszenia błot pińskich, przez przekopanie kanału. Kanał ten od imienia założyciela, „Ogińskim” nazwany, mający połączyć rzeki Szczarą z Jasiółką, czyli raczej Niemen z Prypecią, był ukończony na dziesięcio-milowej przestrzeni w roku 1784. Zwiedzał go natenczas król Stanisław i przy nim puszczone dwa statki; jeden unosił 1.000 przeszło korey zboża, drugi sto beczek soli. Ogiński na tę ofiarę dla dobra ogółu, prócz trudów, poświęcił własny fundusz 1,200,000 złp.

W r. 1795 utraciwszy wszystkie swoje posiadłości, wyjechał za granicę, gdzie oddał się ulubionej muzyce; był bowiem niepoślednim skrzypkiem i kompozytorem. ¹⁾ Oddawał się z równem zamiłowaniem sztukom pięknym, bo prócz muzyki, którą w wysokim stopniu posiadał, był także biegłym rysownikiem i budowniczym.

Około roku 1798, Ogiński wrócił do kraju, gdzie zakończył życie w 1800 dnia 17 Czerwca w Słonimie, nie zostawiając potomstwa. K. W. Wójcicki, w dziele *Cmentarz Powązkowski*, przytacza następny nagrobek w katakumbach powązkowskich:

„Michałowi Kazimierzowi kniaziowi z Kosielska Ogińskiemu.

Pamiętkę uszanowania, żalu i wdzięczności, słudzy dla pana położyli.—Żył lat 72, umarł 1800 r...”

Wszakże autor dodaje: „Napis w katakumbach nas nie objaśnia w tym względzie, ani z pewnością możemy powiedzieć, czy zwłoki Ogińskiego tu spoczywają; napis ten bowiem zdaje się być więcej poświęconym na zachowanie tylko jego pamięci na cmentarzu powązkowskim przez dworzan Ogińskiego, za-

mieszkałych w Warszawie, którzy tym sposobem swój żal a wdzięczność wyrazili.“

Co do nas, datę i miejsce śmierci czerpalimy z dokumentów familijnych rodziny Ogińskich.

Roman Gryf.

TAJEMNICZY BUKIECIK. ¹⁾

Dla moich małych przyjaciół

z Wieczorów Rodzinnych.

Od czego zacząć ten bukiet? Od czego?
Wiem już; nazrywam ja,
Potém wyszukam śród traw i listeczków,
Kilka ostatnich . . . —

Ach, nie rozkwitła jeszcze ta lilijka!
Niechże zastąpi mi ją,
A tam, gdzie szmerze ów srebrny ruczajek,
Uszczknę —

Śród tych skromniuchnych kwiatów, dla odmia-
[ny,

Umieszczę ze dwa żółte
I, piękne barwą, lecz bez żadnej woni,
Pąki szkarłatnej . . . —

W państwie kwiecianém ty drobna szlachetko,
Ty najwonnejsza, pójdz do mnie . . . !
A i wy pójdziecie, łąk naszych pieszczotki,
Błado-różowe . . . —

Chociaż mój bukiet już będzie dość duży,
Chciałabym jeszcze znaleźć pączek . . .,
Ale nie mogę, a więc naostatek
Przyjmijcie odemnie . . . —

Jaskółka.

Łamigłówka głoskowa

Pierwsze w ogrodzie, ale nie w sadzie,
Drugie w uporze, nie w mądrej radzie,
Trzecie w spiżarni, pośród przysmaków,
Czwarte jest zawsze u wilkołaków,
Piąte, jak drugie, jest w samowoli,
Dla tego może i w tém, co boli;
Wszystko—jezioro, dzieci kochane,
Z bajecznych dziejów dobrze wam znane.

Jaskółka.

¹⁾ Mylnie jednak przypisują mu znane powszechnie polonezy, gdyż autorem ich był inny Michał Ogiński, pochodzący z tegoż samego rodu, który żył znacznie później.

¹⁾ Kropki należy zastąpić nazwą kwiatka, rymującą z poprzednim wierszem; w pierwszym jest kwiat i bliższe jego określenie. Zamiast punktów dajemy kręski, aby się nie mieszały z kropkami, oznaczającymi zgłoski.

Łamigłówka kryształowa. (A. O.)

- 1) Samogłoska.
- 2) Roślina.
- 3)
- 4) Zwierzę drapieżne.
- 5) Współgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery tworzą nazwisko współczesnego poety.

Z a g a d k a. (O. G. i B. M.)

Pół litery oznacza sprzęt domowy.

Rozwiązania do Nru 23.

Zadania liczbowego:

Słowacki.

Wisła.

Kosa.

Wał.

Wosk.

Siła.

Owca.

Sowa.

Wioska.

Łask.

Cis.

Cło.

Słowik.

Sok.

Włos.

Kos.

Szarady: Okulary.

Łamigłówki kwadracikowej:

K	O	R	A
O	M	A	R
R	A	M	A
A	R	A	K

Zagadki: Żadnej, bo nowy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryni N. i jej braciškom w Sędziach nad Wartą. Wielką nam sprawił przyjemność liścik porządnie napisany, w którym tyle jest dla nas pożądaných wiadomości: najpierw, że kochani czytelnicy *Wieczorów Rodzinnych* tak pięknie umieją korzystać z rad i przykładów, podawanych w naszym Piśmie, potem, że je z zajęciem czytają i tyle mają współczucia dla tych, którzy im prace swoje poświęcają. Rs. 5, zebrane dla Sandomierzan dotkniętych powodzią, odesłaliśmy niezwłocznie do komitetu.

Helence B. w Uściługu. Dziękujemy bardzo za liścik serdeczny i miły, za szczegóły o młodszym rodzeństwie, które już także pismo nasze zna i lubi je nawet. Wszystkim zasyłamy pozdrowienie, a od siostrzyczki Kazi czekamy osobnego liściku. Łamigłówki chętnie zamieścimy. Rozwiązania są trafne.

Michałowi Fl. Wszystkie łamigłówki chętnie zamieścimy, bo są bardzo dowcipnie ułożone. Za grzeczny liścik dziękujemy, a szczególnie za wiadomość, które opowiadania w naszym piśmie najwięcej się podobały. Mamy przygotowane różne życiorysy z wizerunkami zasłużonych ludzi i stale zamieszczać je będziemy. Koniec komedyjki zapewne zadowolni czytelników.

Jankowi D. w Kaliszu. Niezmiernie nas ucieszył liścik, jak na 7-o letniego chłopczyka ślicznie napisany i tak uprzejmy dla nas. Nie wszyscy mogą podróżować, ale każdy może to sobie wynagrodzić, czytając opisy podróży. Jeżeli Kazio pojedzie gdzie jeszcze w czasie wakacji, to z pewnością przygotuje znowu dzienniczek dla czytelników *Wieczorów Rodzinnych*, którzy go tak pokochali. Niezadługo zamieścimy opowiadanie o innym psie, równie poczciwym i roztroptym, jak ów Barry z góry S-go Bernarda. Radziibyśmy jak najczęściej tak miłe liściki odbierać.

Julkowi i Walusiowi. Za przesłanie rysunków dziękujemy. Bądźcie pilni jak dotychczas i słuchajcie zacaego waszego przewodnika, a Bóg wam pomoże.

Stefei D. Życzymy powodzenia w egzaminach, które zapewne dobrze pójdą, kiedy się tyle do nich pracy i pilności dokłada. Rozwiązanie trafne; na obszerniejsze liściki, zawsze dla nas pożądanę, poczekamy cierpliwie do wakacji.

P. Janowi C. Nadesłane zagadki i logogryfy nie wszystkie są dla nas stosowne; nie możemy bowiem podawać nazwisk pisarzy i artystów po większej części nieznanych dzieciom i mało ich obchodzących.

Władysiowi J. Rozwiązania trafne i porządnie napisane, ale radziibyśmy otrzymać inny dłuższy liścik.

Stefanowi K. Łamigłówka dobrze ułożona, ale mamy tak wiele podobnych i nawet z temiż samemi nazwiskami, że chyba kiedyś później tę zamieścimy.

— Od Elżuni, Helusi i Jakóbka otrzymaliśmy rs. 3 na szpital dziecienny.

HYMN.

Adagio maestoso.

mf

Pa - nie serc wier - nych przy - bądź Du - chu Świe - ty! W To - bie Bo -

Kto w cie - bie u - fa, te - go nie nie trwo - ży, Ty nam bądź

f

skie - go zmi - ło - wa - nia da - ry; Przy - bądź cu - do - wny wiel - ki nie - po -

tar - czą prze - ciw - ko grze - cho - wi. Niech bę - dzie chwa - ła Oj - cu i Sy -

mf

ję - ty. Wlej mi - łość w ser - ca, roz - nieć świa - tło wia - ry.

no - wi. Niech bę - dzie chwa - ła To - bie Du - chu Bo - ży.

A - men, a - - - - men, a - - - - - men.

Treść.—Motyle, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Kłopoty starszeństwa, powiastka dla starszych siostrzyczek, z drzeworytem (dokończenie).—Bohaterski czyn Bartłomieja Kościelniaka, przez Waleryą Stacherską.—Czytania wieczorne, przez A. Dzieduszycką.—Z dziejów sławy, przez Romana Gryfa.—Tajemniczy bukiet, przez Jaskółkę.—Łamigłówni.—Zagadki i rozwiązania.

Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Мая 1880 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke.**

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.